

SYLWETKI

WALCZĄCY Z BEZPRAWIEM

PAWEŁ SOWIŃSKI

Zbigniew Romaszewski zapowiadał się na utalentowanego fizyka. Porwany przez wartki nurt wydarzeń – porzucił naukę dla obrony praw człowieka. Na świat przyszedł w styczniu 1940 r. w okupowanej Warszawie. Po powstaniu warszawskim wraz z matką został wywieziony do niemieckiego obozu pracy w Turynii. Ojciec – również zabrany przez Niemców – zginął w Sachsenhausen. W czasie wojny stracili wszystko. „Wróciliśmy w 1945 roku. [...] Mieszkanie spalone. Saneczkami, na których była pierzyna i trzy talerze, dotarliśmy na Szmulki [dzielnica Warszawy – P.S.] do wuja i tam zamieszkaliśmy” – opowiadał w maju 1988 r. w podziemnym wywiadzie dla Krystyny Jagiełło.

W 1955 r. w swojej szkole średniej należał do koła komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej, które rozwiązał w okresie Października '56. Niedługo potem uczestniczył w ogólnopolskiej naradzie pod auspicjami „Po Prostu”, pisma skupiającego rzeczników destalinizacji. „Wydarzenie miało dla mnie przełomowe znaczenie, ponieważ na tym zjeździe poznałem swoją żonę Zosię” – wspominał w 1986 r. rozmowie z dziennikarką Janiną Jankowską. Odtąd z żoną szli krok w krok, angażowali się razem w działania na rzecz poszerzenia wolności. Na ich dalsze losy wpływ wywarła bogata historia rodziny Zofii – z domu Płoskiej, naznaczona działalnością patriotyczną w powstaniu styczniowym, w Polskiej Partii Socjalistycznej, w II Rzeczypospolitej, w czasie okupacji.

Pierwszą policyjną wizytę w swoim mieszkaniu przeżyli w połowie lat sześćdziesiątych. Matka Zofii Romaszewskiej przez pewien czas ukrywała Januarego Grzędzińskiego – niepokornego literata, którego władze chciały postawić przed sądem. W 1967 r. Romaszewscy zbierali podpisy pod petycją pracowników naukowych w obronie Adama Michnika zawieszono w prawach studenta Uniwersytetu Warszawskiego. Po Marcu '68 w ich mieszkaniu w gronie kilkunastu znajomych odbywały się spotkania dyskusyjne, na które zapraszano osoby ze starszego pokolenia znane z postawy sprzeciwu wobec PRL – Ludwika Cohna i Edwarda Lipińskiego, Jana Nepomucena Millera, Marię Ossowską. Ten domowy, kameralny klimat kontestacji utrzymał się do 1989 r.

Nowe oblicze sprawiedliwości

W 1976 r. dzięki znajomości z Henrykiem Wujcem, kolegą ze studiów, Romaszewski zaangażował się w zbiórkę pieniędzy dla robotników represjonowanych w Radomiu i Ursusie.

Wkrótce wszedł w skład tzw. grupy radomskiej, kierowanej przez Mirosława Chojeckiego. Od września 1976 do stycznia 1977 r. 43 razy przyjeżdżał do Radomiu z pomocą dla represjonowanych. W październiku 1976 r. – po zatrzymaniu Chojeckiego przez Służbę Bezpieczeństwa – przejął kierowanie wyjazdami do Radomia. Stał się jednym z najaktywniejszych działaczy środowiska Komitetu Obrony Robotników.

Po raz pierwszy zobaczył wówczas na własne oczy ludzi upokorzonych, torturowanych, pozbawionych jakiegokolwiek nadziei na lepsze życie. Aparat bezpieczeństwa dopuszczał się gigantycznych nadużyć, urządzał w Radomiu łapanki na robotników. Przepuszczano ich przez szpaler milicjantów uzbrojonych w 70-centymetrowe pałki. Relacje pobitych musiały być szokiem dla inteligenta z Warszawy. Sto kilometrów od stolicy rozciągał się inny świat. Część robotników nawet nie zdawała sobie sprawy, że są nieludzko traktowani, przywykli już bowiem do brutalności na komendach, do tego, że milicja jest ponad prawem – wspominał Romaszewski wydarzenia radomskie w lutym 1981 r. podczas spotkania z działaczami Solidarności na Podkarpaciu.

Radom dobitnie ukazał sprzeczność oficjalnych deklaracji z ponurymi realiami. Dyktatura proletariatu nieuchronnie przemieniała się w dyktaturę urzędników – tak jak kiedyś diagnozowali rewizjoniści. KOR, organizacja o charakterze ruchu społecznego, był wspaniałym osiągnięciem niezależnego myślenia, zrzeszeniem niezwykłym w społeczno-politycznym pejzażu ówczesnej Polski – prawie całkowicie zdominowanym przez PZPR. Lokalność działania, skupienie się na problemach ludzi, atmosfera przyjaźni i odwagi mocno odróżniała opozycję od zbiurokratyzowanej polityki PRL, kojarzonej z korupcją, brakiem wrażliwości społecznej i ambicjami rządzenia. Represje władz sprawiały jednak, że akces do Komitetu oznaczał przekreślenie życiowej kariery.

„W mojej psychice istnieje bardzo silny protest przeciwko bezprawiu” – Zbigniew Romaszewski tłumaczył ten ryzykowny krok Krystynie Jagiełto pod koniec lat osiemdziesiątych. Jesienią 1977 r. wraz z żoną stanął na czele Biura Interwencyjnego Komitetu

Samoobrony Społecznej KOR, zajmującego się dokumentowaniem przypadków łamania przez władzę praworządności oraz udzielaniem opieki prawnej i finansowej ludziom poszkodowanym przez państwo. W ciągu czterech lat działalności do Biura wpływało po kilkaset skarg rocznie, w tym sprawy osób ciężko pobitych lub zamordowanych. O pracach Biura na bieżąco informował „Biuletyn Informacyjny” KSS KOR w rubryce „Praworządność” – redagowanej przez Romaszewskich.

W ten sposób wraz ze współpracownikami znaleźli się na pierwszej linii starcia z partyjnym hegemonem, podejmowali najbardziej drażliwe dla władz tematy, ujawniali bestialstwo milicji. Bohaterami ich interwencji stawali się przedstawiciele Polski prowincjonalnej, anonimowi, izolowani, o niskim statusie społecznym i materialnym, niekiedy z marginesu społecznego. Ludzie zupełnie bezradni wobec przemocy lokalnej władzy. Pozbawieni silniejszej więzi grupowej, która łączyła warstwy wykształcone, byli skazani przez los na milczenie i ciągły strach. KOR docierał do nich jako pierwszy, próbował wyciągać ich z tarapatów, dawał znać, że nie są osamotnieni.

Kontakty z działaczami niezależnymi narażały represjonowanych na nowe represje. Mimo wielu hamulców Komitet powoli przełamywał swój inteligencki elitaryzm i rekrutował nowych aktywistów, często zresztą – ocenia Jan Skórzyński w swojej historii KOR – spośród poszkodowanych przez władzę. Udzielona im pomoc wywoływała odruch solidarności z innymi ofiarami bezkarności władz. Tak tworzył się społeczny łańcuch wsparcia i wdzięczności. Przypadki zagadkowych zgonów w łódzkiej komendzie na Bałutach zmobilizowały tamtejsze środowisko opozycyjne, a zdesperowana matka jednego z zamordowanych chłopców, Zenobia Łukasiewicz, stała się bardzo oddaną współpracowniczką Romaszewskich. Przepisywała na maszynie dokumentację Biura, jeździła na procesy sądowe.

Na początku 1979 r. Romaszewski jako reprezentant KSS KOR pojechał do Moskwy, gdzie miał dwa spotkania z Andriejem Sacharowem i innymi przedstawicielami rosyjskiego ruchu obrony praw człowieka.

Wyprawę opisał w tekście *Moja podróż do Moskwy* w „Biuletynie Informacyjnym” (1979). Choć notowany w policyjnych kartotekach, przez nieuwagę państwowej biurokracji otrzymał jednak voucher turystyczny uprawniający wówczas do przekroczenia granicy. Spotkanie z rosyjskimi dysydentami – w kuchni w mieszkaniu Sacharowa, przy herbacie – miało symboliczną wymowę. Romaszewski był jedyną osobą, której udało się – chociaż na moment – połączyć oddalone od siebie wyspy sprzeciwu w Polsce i ZSRR.

W tym okresie już jasno rysowały się poważne kontrowersje wewnątrz KOR. Bieżąca działalność, ambicje przywódcze, odmienne biografie antagonizowały większościową grupę skupioną wokół Jacka Kuronia oraz dawnych harcerzy Czarnej Jedyńki pod przywództwem Antoniego Macierewicza. Logika rywalizacji coraz silniej rozsadzała pierwotną jedność Komitetu. W listopadzie 1979 r. Romaszewscy zdecydowali się na ostrą krytykę Macierewicza, a nawet posunęli się do propozycji usunięcia go z KOR – pisze Andrzej Friszke w biografii Jacka Kuronia. Mimo to nadal dość trudno byłoby postrzegać ich zaangażowanie przez pryzmat rozgrywek personalnych i układów ideowych.

W styczniu 1980 r. wraz z Ludwikiem Cohnem, Edwardem Lipińskim i Anielą Steinsbergową Zbigniew Romaszewski utworzył Komisję Helsińską KSS KOR. Był głównym redaktorem jej pierwszego *Raportu o przestrzeganiu praw człowieka i obywatela w PRL*, opartego o bez mała czteroletnią pracę KOR. Został on ogłoszony jesienią 1980 r. w Madrycie na Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (tzw. Raport Madrycki). Dokument zamykał pierwsze stadium rozwojowe polskiego ruchu obrony praw człowieka. Co może ważniejsze, za pomocą tego raportu Romaszewski i cały KOR skutecznie przedzierali się na teren polityki zagranicznej.

Po powstaniu NSZZ Solidarność Romaszewski jako jeden z nielicznych członków KSS KOR odgrywał istotną rolę we władzach statutowych związku. 27 czerwca 1981 r. wszedł do Prezydium Zarządu Regionu NSZZ Solidarność Mazowsze, a od października w skład Komisji Krajowej, najważniejszego gremium przywódc-

czego Solidarności. Jednocześnie od listopada 1980 r. kierował Komisją Interwencji i Praworządności przy Regionie Mazowsze – biurem interwencyjnym z prawdziwego zdarzenia, z lokalem przy ulicy Szpitalnej, dyżurami personelu i adwokatów. Optymalnego kursu dla Solidarności upatrywał w unikaniu konfrontacji z władzą, choć nie za wszelką cenę, czego wyrazem było jego poparcie dla strajku generalnego w czasie tzw. kryzysu bydgoskiego w marcu 1981 r.

Ze stróżami porządku miał – jak wiemy – raczej na pieńku. Mimo to 7 maja 1981 r. wraz z Adamem Michnikiem i Janem Walcem pospieszył na pomoc funkcjonariuszom milicji z Otwocka, którzy z powodu lokalnego incydentu zostali zaatakowani przez zrewoltowany tłum. Reprezentował stronę związkową w rozmowach z rządem w sprawie rehabilitacji represjonowanych po Czerwcu '76 w Radomiu. Stał się znanym działaczem, udzielał się na licznych wtedy spotkaniach. Brał udział w tworzeniu Klubów Samorządnej Rzeczypospolitej Wolność-Sprawiedliwość-Niepodległość, powołanych 22 listopada 1981 r. przez m.in. Zbigniewa Bujaka, Jacka Kuronia i Adama Michnika. Taka deklaracja sytuowała go politycznie bliżej Michnika i Kuronia, a nie konkurencyjnych klubów animowanych w tym samym czasie przez Antoniego Macierewicza i Wojciecha Ziemińskiego.

Tajna radiostacja

13 grudnia 1981 r. udało mu się uniknąć internowania, kontynuował więc działalność związkową w podziemiu. Ukrywał się pod fałszywym nazwiskiem i w konspiracyjnych mieszkaniach, poruszał się po mieście ucharakteryzowany – w dwustronnym płaszczu, w okularach zerówkach i peruce, którą kiedyś na ulicy zerwał mu z głowy nagły podmuch wiatru. „Poczułem się przez moment zdekonspirowany” – opowiadał.

Komuniści polityką represji skutecznie odcięli nie tak dużą przecież grupę zdeterminowanych aktywistów od solidarnościowych mas. Dawna, liczna Solidarność została właściwie sparaliżowana, w powietrzu unosił się nastrój przygnębienia i klęski. W tej

jakże zmienionej sytuacji nieoczekiwanie przydał się Romaszewskiemu obroniony w 1980 r. doktorat z fal elektromagnetycznych.

W lutym 1982 r. wraz z żoną zaczął organizować w Warszawie pierwsze w kraju konspiracyjne Radio Solidarność. Zainauguowało ono działalność 12 kwietnia 1982 r. – dzięki nadajnikowi Komar skonstruowanemu przez Ryszarda Kołyszko. W następnych miesiącach w eter poszło kilkanaście kolejnych audycji. Za maszt posłużyła pięciometrowa wędka szczupakowa. Do niej podczepiano ćwierćfalową antenę. Wcześniej opracowaną kasetę z audycją wkładano do magnetofonu Kapral. Emiterzy pojawiali się znieścacka na dachach wysokościowców z kluczami do windziarni. Prąd podkradano z instalacji, która zasilala windę w bloku. Sygnałem nowej stacji była okupacyjna piosenka *Siekiera, motyka...* grana na flecie prostym przez Janusza Klekowskiego, muzyka warszawskiej opery.

W pierwszym wystąpieniu radiowym Romaszewski przedstawił się z imienia i nazwiska, a spikerka, jego żona Zofia, zaapelowała do słuchaczy o zapalenie i gaszenie światła w mieszkaniach. Chodziło o zorientowanie się, jak rozchodzi się fala radiowa – i czy ktoś w ogóle tego radia słucha. „Kiedy w budynkach zaczęły migać światła, to się zwyczajnie popłakaliśmy. To był fantastyczny widok! Ponieważ wówczas w eterze była cisza, nie było szumów, fala poszła przez całą Warszawę” – opowiadał po latach. Społeczne radio – pierwsze takie w naszej historii – wywołało wściekłość organów ścigania. W czasie kolejnych transmisji nad miastem latał policyjny helikopter z urządzeniem do pelengacji, a setki funkcjonariuszy przeczesywało teren w poszukiwaniu aparatury i sprawców.

Wybuch społecznego entuzjazmu zaskoczył nawet organizatorów radia. To wyjątkowe połączenie niezależnych nadawców z odbiorcami – ponad głosami bezradnie ganiających po mieście speców od zagłuszania i namierzania – tworzyło psychologiczne wrażenie siły podziemia. Było to do pewnego stopnia złudzenie, ale nikt ze słuchaczy przecież nie mógł wiedzieć, że radiowców jest najwyżej kilkunastu, a cały nadajnik, zaledwie 20 watów mocy, mieści

się w prostokątnej obudowie 15 na 25 centymetrów. Akcja Romaszewskich ożywiła zwolenników Solidarności przed kluczową próbą sił w Warszawie – manifestacjami z maja i sierpnia 1982 r., jako że chętniej się angażujemy, gdy sądzimy, że nasza sprawa cieszy się szerokim poparciem.

8 maja 1982 r. Romaszewski wraz ze Zbigniewem Bujakiem, Zbigniewem Janasem i Wiktoorem Kulerskim powołał tajną Regionalną Komisję Wykonawczą NSZZ Solidarność Mazowsze. W sporze o strategię związku na najbliższe miesiące występował – w opozycji do Bujaka – jako zdecydowany zwolennik strajku generalnego; uważał go za jedyny środek, który może wymusić na władzy ustępstwa. Wspierał Międzyzakładowy Robotniczy Komitet Solidarności, najbardziej wówczas bojową strukturę warszawskiego podziemia. 7 czerwca 1982 r. wziął udział w planowaniu spektakularnej – i udanej – akcji MRKS uwolnienia ze szpitala rannego Jana Naroźniaka, przybywającego pod dozorem SB. Takie działania przemawiały do masowej wyobraźni i dostarczały Romaszewskiemu argumentów w dyskusji z resztą RKW na temat strategii podziemnego związku.

Tymczasem 5 lipca 1982 r. ekipa dochodzeniowa SB wtargnęła do konspiracyjnego mieszkania, w którym znajdował się wraz z żoną: „Romaszewski uciekł tak jak stał, w domowych pantoflach. SB-ecy wybiegli za nim, ale po kilku minutach wrócili sami” – relacjonował „Tygodnik Mazowsze” (10 lutego 1983 r.). „Akurat obchodziliśmy rocznicę ślubu w kameralnym gronie w konspiracyjnej kawalerce w alei Stanów Zjednoczonych” – dopowiadał po latach. „Zbyszek Kobyłański, właściciel mieszkania, zaparł się we framudze, by zaklinować esbeków, a ja wybiegłem na dwór. Ciągnąłem tak ze 400 metrów, zrozumiałem wtedy, co to znaczy sprint przedłużony. Spadły mi klapki, już w samych skarpetkach wpadłem w boczną uliczkę i położyłem się pod zaparkowanym samochodem”.

Radio jednak nie zamilkło, przeciwnie: Romaszewski – już bez aresztowanej żony, ale w komitywie z mocną ekipą MRKS – projektował komunikacyjną infrastrukturę obchodów rocznicy powstania Solidarności. Przez miasto miała przejść wielka demonstra-

cja. Do MRKS przeniknął jednak groźny szpicel policji Sławomir Miastowski. Zaczęła się policyjna obtawa.

Romaszewski został ujęty 29 sierpnia 1982 r. po kolejnym ulicznym pościgu w centrum Warszawy. Wraz z żoną i siedmioma współpracownikami zasiadł na ławie oskarżonych w procesie Radia Solidarność. 17 lutego 1983 r. otrzymał najwyższy wyrok – 4,5 roku więzienia. W lipcu 1984 r. stanął ponownie przed sądem – wraz z Kuroniem, Michnikiem i Wujcem, liderami byłego KSS KOR. Wkrótce jednak proces przerwano, a oskarżeni wyszli na wolność na mocy amnestii z lipca 1984 r.

Między więzienną celą a wyspami szczęścia

Zanim do tego doszło, zimą i wiosną 1984 r. w największej tajemnicy toczyły się mediacje między władzą, Kościołem i opozycją o uwolnienie tzw. jedenastki – przywódców KSS KOR i Solidarności. Oferta władz brzmiała: zwolnienie z więzienia w zamian za rezygnację z dalszej walki. Aresztowanych odwiedził nawet specjalny wysłannik Organizacji Narodów Zjednoczonych Emilio de Olivares z kuszącą propozycją wyjazdu na kilkuletnie stypendium zagraniczne w dowolne miejsce na świecie. Wspominał Romaszewski: „żartowaliśmy, iż na następne spotkanie powinien przyjść z atlasem geograficznym naszej planety, a my będziemy patrzeć na Mauritius”. Ostatecznie władzom PRL nie udało się osiągnąć zamierzonego celu, jakim było pozbycie się lub zlojalizowanie czołówki Solidarności.

W 1985 r. Zofia Romaszewska wyjechała do Stanów Zjednoczonych, gdzie zbierała ponad 300 tys. dolarów na pomoc dla prześladowanych. Jej mąż, któremu przyznano to półroczne stypendium, nie dostał paszportu (choć jeszcze pół roku przedtem władze same mu paszport wciskały...). Fundusze te stały się podstawą Komisji Interwencji i Praworządności NSZZ Solidarność, powołanej 10 grudnia 1986 r. na polecenie Lecha Wałęsy, która uruchomiła domowe placówki w całym kraju, pomagała prawnie i finansowo represjonowanym niezależnie od ich przekonań politycznych, rekompensując koszty zasadzonych

grzywnien, straty poniesione w wyniku konfiskat mienia, wypłacając zasiłki dla wyrzuconych z pracy, a wiosną 1988 r. dla strajkujących w Nowej Hucie, Stalowej Woli i Gdańsku.

Służba Bezpieczeństwa nie bez przyczyny obawiała się podróży Romaszewskiego za granicę. Zbiórka w Stanach Zjednoczonych otworzyła nowy rozdział w działalności interwencyjnej. W antyrządowych przedsięwzięciach zawsze dość mocno odczuwa się nasilanie represji i to, jaki klimat polityczny wytwarzają miejscowe władze, pozostaje ważnym punktem odniesienia. W połowie lat osiemdziesiątych postępowała demobilizacja „społeczeństwa podziemnego”. Aparat ścigania zdawał się zwyciężać. Ale 300 tys. dolarów pozyskane na gruncie amerykańskim obniżały koszty uczestnictwa w solidarnościowym proteście. Masowe wypłaty rekompensat odwlekły proces kurczenia się opozycji, niezauważenie poprawiały samopoczucie – nie tylko zahartowanych weteranów, ale także ludzi o mniejszej tolerancji ryzyka.

Dzięki tej zewnętrznej pieniężnej interwencji Romaszewskim łatwiej poszła budowa struktury – ostatecznie złożonej z 82 terenowych koordynatorów. Komisji udało się stworzyć unikalną „mapę bezprawia” – wspominał senator. „Interwencji” skrupulatnie rejestrowali przypadki nadużycia prawa w swoich okolicach. Od października 1987 r. raz w tygodniu podawała je do wiadomości publicznej „Informacja Komisji Praworządności”. Biuletyn ten stanowił poręczną bazę danych o naruszeniach prawa do wykorzystania przez zachodnie agencje prasowe. Przeglądowa formuła „Informacji” umożliwia badaczom lepsze poznanie repertuaru represji w końcowym stadium PRL – nie tylko metod walki z opozycją, ale również zmagani zwykłych ludzi z bezduszną machiną władzy.

W 1987 r. Romaszewscy otrzymali Nagrodę Praw Człowieka Fundacji Aurora przy Uniwersytecie Stanforda w Kalifornii. Z działaczami Komisji Interwencji oraz Ruchu Wolność i Pokój zorganizowali w dniach 22–25 sierpnia 1988 r. w zaprzyjaźnionym kościele w Mistrzejowicach w Krakowie I Międzynarodową Konferencję Praw Człowieka, która zgromadziła około 1200 uczestników, w tym wielu reprezentantów

ruchów praw człowieka z całego świata. Po raz pierwszy w historii polskiej opozycji udało się w kraju zorganizować takie transnarodowe forum wymiany doświadczeń opozycyjnych. Tym samym Romaszewscy weszli do grona liderów międzynarodowej „rewolucji praw człowieka”.

Mając za sobą takich sprzymierzeńców, można było skutecznie wywierać presję na władze polskie, a te chyliły się już wyraźnie ku upadkowi. Sama impreza, choć zorganizowana siłami społecznymi, mogła być również dowodem na demontaż polityki represji. Ostatnie jej akordy zabrzmiały już bardziej kuriozalnie niż strasznie. Krakowscy esbecy „zaaresztowali” obiad dla uczestników seminarium, próbowali zrobić organizatorów w nielegalny obrót mięsem (czarnorynkowym skupem żywca zajmowali się Jan Rokita i Zbigniew Fijak), ale szybko się wycofali – wspominał z rozbawieniem senator Romaszewski. Na konferencję zawitał bowiem – w imieniu gen. Kiszczaka – wysoko postawiony gość z MSW, który powstrzymał esbeków.

Senator wolnej Polski

W broszurze *Minimalizm radykalny. Propozycje programowe dla NSZZ „Solidarność”*, napisanej w przededniu obrad Okrągłego Stołu, Romaszewski wyznaczał strategię rozmów i cele kompromisu, przestrzegając przed zawarciem porozumienia niedającego gwarancji obrony interesów pracowniczych. Sympatyzował już wówczas z antywałęsowską Grupą Roboczą Komisji

Krajowej. Ostatecznie wziął jednak udział w obradach Okrągłego Stołu (6 lutego – 5 kwietnia 1989 r.) w zespole eksperckim do spraw reformy prawa i sądów. „Okrągły Stół ruszył wszystko z bagna, z którego nie mogła się wydostać władza i opozycja” – ocenił z perspektywy czasu. W czerwcu 1989 r. został senatorem z listy Komitetu Obywatelskiego Solidarność.

Po 1989 r. nadal badał przypadki nadużyć administracji. Temat nie okazał się zupełnie przebrzmiały w nowej Polsce. Zabierał głos w debacie dotyczącej wymiaru sprawiedliwości, korupcji, lustracji, rozliczenia komunistów i zadośćuczynienia poszkodowanym przez PRL, zajmował się odnośnymi przepisami. Politycznie sytuował się po prawej stronie, nową Polskę postrzegał jako demokrację nieudolną i niepełną. Występował przeciw polityce prezydenta Lecha Wałęsy, potem wspierał m.in. Ruch Odbudowy Polski Jana Olszewskiego. Karierę parlamentarną zakończył w klubie Prawa i Sprawiedliwości. Jednak nigdy nie stał się postacią typowo partyjną. Przez wszystkie te lata zachowywał autonomię poczynań.

W 2003 r. dwa razy gościłem w domu Zofii i Zbigniewa Romaszewskich, by zebrać historyczną relację o ich życiu opozycyjnym. Senator, polityk, ale w głębi duszy również fizyk, z pasją opowiadał o właściwościach fal radiowych i arkanach technicznej konstrukcji Radia Solidarność. Zrobił na mnie wrażenie człowieka wyczulonego na problemy ludzkiej krzywdy i godności. Swój mandat – sprawowany do 2011 r. – postrzegał jako kontynuację etosu korowskiiego.